Mówię jej prawdę. To najzabawniejsza metoda, jaką znam. Po mniej więcej stu stronicach traci zainteresowanie lekturą i zabiera się do *Buszującego w zbożu*.

Rok później, podczas podróży promującej moją książkę o Henrym Millerze — *Diabeł na wolności* — Molly tak powie Wilderowi Penfieldowi III z „Toronto Star":

„Postanowiłam nie czytać żadnej z książek mojej matki, gdyż one naprawdę mnie przerażają. Przeczytałam sto stron *Strachu przed lataniem* i bardzo się zdenerwowałam. Ciągle ją pytałam: Naprawdę to zrobiłaś? Byłam wstrząśnięta, musiałam przerwać lekturę".

Uśmiecha się z zadowoleniem, gdy widzi wydrukowane wszystkie swoje wypowiedzi. Aż się trzęsie, by włączyć się ze swoją śpiewką pod tytułem: „mężowie mojej mamy" — scena pierwsza, z prawej wchodzi mąż numer jeden, scena druga, z lewej wchodzi mąż numer dwa i tak dalej — ale piorunuję ją wzrokiem i kopię pod stołem.

W wieku czternastu lat Molly już wie, że stanowię dla niej materiał, tak samo jak ona dla mnie. Skoro musi pogodzić się z tym, że ma matkę pisarkę, bierze za to odwet w słowach.

Molly nigdy nie brakuje słów.

Nikt by jej nie zmusił, żeby grała drugie skrzypce.

Tak więc zbliżam się do pięćdziesiątki, wtłoczona między pokolenia. Zostałam sprowadzona do roli brakującego ogniwa w łańcuchu ewolucji — mając przestrogi swego ojca z jednej strony, a z drugiej śpiewki swojej córki. Muszę to jakoś uporządkować.

I tak powstała ta książka.



## *On ma już pięćdziesiątkę. A ona nie*

Ostatnia rzecz, jakiej bym sobie życzyła u progu pięćdziesiątki, to uroczyste obchodzenie urodzin. Trzy dni przed swoimi urodzinami wyjechałam do uzdrowiska w Berkshires wraz ze swoją trzynastoletnią córką Molly. Spałam razem z nią w jednym łóżku, chichocząc przed snem, aktywnie spędzałam dnie (jakbym była młodą sportsmenką, a nie kluchą), przyswajałam sobie najnowsze przepisy niskokalorycznej kuchni wegetariańskiej, wyciskałam wągry, masowałam podbródek, rozluźniałam mięśnie i przemyśliwałam o następnej połowie życia.

Raz pogodzona z upływem czasu, wpadałam chwilami w popłoch. Pomyślałam, że przekraczanie pięćdziesiątki przypomina lot — godzinami ciągnąca się nuda przerywana momentami absolutnego przerażenia.

Kiedy w urodzinowy wieczór przyjechał mój mąż (który przyszedł na świat tego samego dnia co ja, ale o rok wcześniej), musiałam dostroić się do niego, porzucając swój kobiecy świat. Jedzenie mu smakowało, ale nabijał się z dętej teorii. Swoim krytyczno-ironicznym męskim spojrzeniem wprawdzie nie zniweczył całkiem mojego ustronia, ale jakoś je zepsuł. Niby to uprawiając gimnastykę, w gruncie rzeczy doskonaliłam swoje wnętrze; jego obecność zaś w znacznym stopniu utrudniała mi pracę nad sobą.

Prawdziwi mężczyźni nie lubią uzdrowisk.

Przed rokiem, kiedy on kończył pięćdziesiąt lat, urządziłam mu przyjęcie. Rozesłałam zaproszenia tej oto treści:

On ma już pięćdziesiątkę.
A ona nie.
Przybywajcie na obchody.

Wciąż trudno mi było zmierzyć się ze swoim półwieczem, więc wiedziałam, że nie chcę, by rewanżował mi się na moje pięć-

dziesiąte urodziny. Nie chciałam też postąpić tak jak Gloria Steinem: zarządzić publiczną imprezę dobroczynną, zbiórkę pieniędzy na rzecz kobiet, wystąpić w oszałamiającej wieczorowej toalecie, olśnić dekoltem obsypanym brokatem — Gloria zawsze miała olśniewający dekolt — i oświadczyć: oto jak wygląda pięćdziesiątka.

Któż mógłby nie podziwiać tak odważnego wyzwania starszej pani? Ale ja miotałam się między chęcią zmiany daty swoich urodzin w *Who is Who* a ochotą wyprowadzenia się do Vermontu, by tam, w zgrzebnych szortach przepasanych sznurkiem i pepegach zająć się ekologiczną uprawą ogródka.

By dojść do ładu z targającymi mną sprzecznymi uczuciami, trzeba mi było czegoś intymnego, kobiecego i sprzyjającego rozmyślaniom. Uzdrowisko świetnie się do tego nadawało. Moja córka zaś była idealnym towarzystwem — pomimo właściwej jej wiekowi, powtarzającej się stale nuty, w której nie oszczędzała nikogo, a zwłaszcza matki. Ponadto jest coś takiego w kobiecie zbliżającej się do pięćdziesiątki, co powstrzymuje ją przed dopuszczeniem świata mężczyzn do damskich zajęć czy wspólnych z córką ćwiczeń, nawet tych jego przedstawicieli, których się kocha i hołubi.

Ja i mój mąż zawsze wyprawialiśmy swoje urodziny — po części dlatego, że obchodziliśmy je wspólnie, po części zaś dlatego, że jako ludzie, którzy spotkali się, będąc już w średnim wieku, po kilku nieudanych związkach, ceniliśmy sobie zbieżność naszych urodzin przypadających na lata drugiej wojny światowej, w czasach racjonowania żywności, strachu przed inwazją państw osi, co pamiętaliśmy jedynie mgliście z często powtarzanych rodzinnych opowieści. Któregoś roku zabraliśmy nasze córki do Wenecji — mego czarodziejskiego miasta; w innym roku urządziliśmy spęd w naszym nowojorskim mieszkaniu niedawno kupionym — wspólnie — w świecie, w którym małżeństwa padają jak muchy; był to dowód najwyższego zaangażowania.

Jednakże pięćdziesiąt lat dla kobiety to nie to samo co dla mężczyzny. Pięćdziesiątka jest bardziej zdecydowanym przejściem na



drugą stronę życia, a to już było coś, czego nie mogliśmy dzielić ze sobą. Niech on sobie stroi żarty z kontemplowania „nowej ery". Jest mi ono potrzebne, tak jak i kobietom w starożytności. Chwila nieuwagi i Wenus z Milo kontempluje własne przeistoczenie się w Wenus z Willendorfu.

Postanawiasz sobie wznieść się ponad wszelką próżność. Czytasz feministyczne książki i rozważasz możliwość zakochania się w Alice B. Toklas. Wieloletnie pranie mózgu pozostawia jednak ślady. Pułapka piękna okazuje się głębsza, niż się mogło wydawać. Jest to sprawa bardziej wewnętrznej konieczności niż czynników zewnętrznych. Po prostu nie możesz sobie wyobrazić siebie w średnim wieku — ty, słodkie maleństwo, ty, która zawsze „to" miałaś, nawet gdy się roztyłaś.

Przez parę lat pozostawałam w stanie oficjalnie wolnym, z obawy zarówno przed znużeniem, jak i pułapką tego, co nie bez kozery zwykło się określać mianem „więzów małżeńskich"; teraz uświadomiłam sobie, że najtrudniejszym wyzwaniem jest utrzymanie duchowej i umysłowej niezależności, przy jednoczesnym kultywowaniu ożywczej i głębokiej więzi z drugą osobą. To oznaczało ciągłe ustalanie priorytetów, nieustanne głośne utarczki, nie kończącą się walkę o władzę. Jeśli szczęście ci na tyle dopisuje, że czujesz się do tego stopnia bezpieczna, by móc walczyć i spierać się, to znaczy, że naprawdę masz szczęście. Jeśli czujesz się na tyle kochana, że możesz krzyczeć, wrzeszczeć i otwarcie demonstrować swoją siłę, wtedy małżeństwo ma pięćdziesiąt procent szans przetrwania.

Jeśli o mnie chodzi, to do takiego małżeństwa doszło tylko dlatego, że znalazłam miejsce, gdzie nie obawiałam się samotności. Spostrzegłam, że wolę własne towarzystwo niż umawianie się na randki. Ceniąc sobie samotność i czując się bezpiecznie, jako że potrafiłam utrzymać siebie i córkę, całkiem nieoczekiwanie spotkałam bratnią duszę i przyjaciela.

Ja sama — sławna dzięki opisom związków, z których buchał seks, po czym gasł bez śladu — tym związkiem byłam zaskoczona. Na początku tylko rozmowa nam wychodziła, seks natomiast

zapowiadał klęskę — smętny zwis w najbardziej nieodpowiednich momentach, nieprzydatne prezerwatywy porzucone w zapomnieniu na kołdrze. Obie strony miały tyle obaw przed zaangażowaniem się, że rozkosz stawała się czymś zgoła niestosownym. Zamiast tego rozmawialiśmy bez końca. Zorientowałam się, że lubię tego człowieka, zanim spostrzegłam, że go kocham — i już samo to było nowym przeżyciem. Zostawiałam go, wyjeżdżając jak najdalej — do Kalifornii, Europy — tylko po to, by telefonować do niego z odległych miejsc. Czuliśmy, że nasz związek jest tak silny, jakbyśmy spędzili ze sobą całe życie.

Czy ktoś odważył się pisać o spustoszeniu, jakie sprawia bezpieczny seks w dobie AIDS? Czy ktoś ośmielił się twierdzić, że większość mężczyzn woli raczej zawiesić sobie prezerwatywę na szyi, niż wciągnąć na członek? Czy ktoś opisał dramat kochanków w średnim wieku, którzy spróbowali wszystkiego, od techniki zachowywania dziewictwa z lat pięćdziesiątych, przez nienasycenie lat sześćdziesiątych, do kultu zdrowej i sportowej sylwetki (kochanków spotykało się w klubach Nautilus) lat siedemdziesiątych, a później, w latach osiemdziesiątych, odchodzenia od wydłużonych limuzyn, krótkich ubrań i mężczyzn, którzy uosabiali panów wszechświata, by wkroczyć w lata dziewięćdziesiąte z panicznym lękiem przed AIDS, który kłócił się ze zdrowym popędem?

A przy tym w dalszym ciągu pozostają bez odpowiedzi odwieczne pytania o miłość i seks. Czy możliwa jest przyjaźń między kobietą i mężczyzną, gdy rządzą i szaleją hormony? Jak się ma seks do miłości — i miłość do seksu? Czy jesteśmy w sposób naturalny zaszeregowani pod względem seksualności, czy też tylko dlatego, że domaga się tego społeczeństwo? Co znaczy być „normalnym"? Albo pedałem? Lub też biseksem? I czy ma to jakieś odzwierciedlenie w naszych duszach? A może powinniśmy pozbyć się tych etykietek, dążyć do prawdziwej szczerości wobec samych siebie i wobec innych?

Co się stało ze mną w drugiej połowie mego życia? Zwróciłam się ku sobie i polubiłam siebie. Odzyskałam humor, żywość, równowagę, czyli właściwości, które miałam w dzieciństwie. Odzyskałam to wszystko z nawiązką. Można to nazwać pogodzeniem się. Można to nazwać mądrością. Wiedziałam, co ma znaczenie, a co nie. Miłość miała znaczenie. Natychmiastowy orgazm — nie.



Dobijając pięćdziesiątki, rozglądam się wokół siebie i widzę, jak kobiety z mego pokolenia reagują na własne starzenie się. Są zdezorientowane, ale odpowiedzią na ich zagubienie nie może być następna książka o hormonach. Problem jest poważniejszy niż menopauza, operacje plastyczne czy pójście do łóżka z mężczyzną młodszym od siebie. Ma to związek z postrzeganiem samej siebie w społeczeństwie, które uznaje miłość młodych, ale nie kocha kobiet. U progu pięćdziesiątki stajemy przerażone, bo nie mamy pojęcia, co z nami będzie, skoro nie jesteśmy już piękne i młode. Nie ma dla nas wyznaczonej roli, tak jak w poprzednich etapach naszego życia. Dwadzieścia pięć lat feminizmu (i przeciwnych trendów), a potem znów feminizm — a my ciągle stoimy na skraju przepaści. Czym będziemy teraz, dokąd zawiodą nas nasze hormony?

Mogłoby się wydawać, że w ostatnich kilku latach ukazało się mnóstwo książek o możliwościach kobiet w średnim wieku, ale czy publikacje te zmieniły cokolwiek choćby w najmniejszym stopniu? Czy możemy tak po prostu odwołać pięćdziesięcioletnie przygotowania do samounicestwienia się w tym wieku?

Zdaję sobie sprawę z zamętu, jaki mnie ogarnął, was zresztą też. Przede wszystkim jesteśmy Pokoleniem Odbijanej Piłeczki (postępowanie patentowe w toku*), urodzone, by być Doris Day, wzdychające w wieku kilkunastu lat, by być Glorią Steinem, i skazane na wychowywanie swoich późno zrodzonych córek w epoce Nancy Reagan i księżnej Di. Dyskryminacja płci, podobnie jak grzybica stóp, rozwija się w miejscach ciemnych i wilgotnych.

---

* Mój mąż, który jest prawnikiem, twierdzi, że pozostaję w niezgodzie z prawem. Pokolenie Odbijanej Piłeczki jest faktycznie znakiem firmowym — tako rzecze.

Wywyższany i strącany z wysokości, niczym w diabelskim młynie, nasz rodzaj stawał się modny i wychodził z mody, tak jak długość spódnic — raz krótsze, raz dłuższe, potem znowu krótkie; tak jak feminizm, który miał swoje wzloty, upadki i kolejne wzloty; tak jak macierzyństwo — na przemian błogosławione, przeklinane i znów błogosławione.

Wychowywane w epoce nielegalnej aborcji (kiedy ciąża uczennicy lub studentki oznaczała koniec wszelkich aspiracji), dorastałyśmy w epoce rewolucji seksualnej, wymyślonej głównie przez środki masowego przekazu i zastąpionej natychmiast przez poczciwy, staroświecki amerykański purytanizm, kiedy to wybuchła epidemia AIDS. Dramat utraty tak wielu talentów w naszym pokoleniu stał się nieuchronnie wymówką w dążeniu do wyklęcia sił witalnych i ich wysłannika — Erosa. Seks był w odwrocie i na fali, wyklinany i gloryfikowany, zły i dobry, zakazany i dopuszczany; nowy zwrot w tym, co Anthony Burgess w swej *Mechanicznej pomarańczy* nazwał „stałym przychodzeniem-odchodzeniem".

Istotą tego wszystkiego jest fakt, że my, Pokolenie Odbijanej Piłeczki, w swym życiu erotycznym i społecznym nie mogliśmy polegać na niczym.

Weźmy tylko pod uwagę rady, których udzielano nam w dzieciństwie. A potem — świat, w jakim przyszło nam żyć!

„Nie miej serca na dłoni!"

„Lepiej niech mężczyźni nie wiedzą, jaka jesteś mądra".

„Jeśli ktoś chce się napić piwa, nie będzie kupował całego browaru".

„Można tak samo kochać biednego, jak i bogatego".

„Przez żołądek do serca mężczyzny".

„Mężczyzna ugania się za dziewczyną, dopóki ona go nie złapie".

„Najlepszym przyjacielem dziewczyny są brylanty".

Gdybyśmy były na tyle głupie, by wieść życie podobne do tego, w którym nasze matki i babki ukuły te przysłowia, dziś wszystkie byłybyśmy dziadówkami grzebiącymi w śmietnikach. Gdybyśmy



były na tyle głupie, by wieść życie propagowane przez magazyny i filmy lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych, wszystkie zmarłybyśmy na AIDS.

Wychowano nas w przekonaniu, że mężczyźni będą się nami opiekować i nas utrzymywać, tymczasem okazało się nieraz, że to my musimy ich otoczyć opieką i wziąć na swe utrzymanie. Wychowano nas w przekonaniu, że możemy przez cały czas zajmować się swoimi dziećmi (przynajmniej kiedy są małe), tymczasem okazało się, że tylko nieliczne z nas mogły sobie pozwolić na luksus pozostawania w domu i oddawania się macierzyństwu. Wychowano nas w przekonaniu, że istotą kobiecości jest łagodność i uległość, tymczasem okazało się, że nasze przetrwanie w trakcie rozwodu, w pracy czy nawet w domu — zależy od zrewidowania tych poglądów na kobiecość i zaciekłej walki o nasze prawa.

Byłyśmy stale rozdarte między tym, co nam wbijały do głowy matki, a tym, co stanowiło model kobiety, jaką powinnyśmy się stać tylko po to, by przetrwać. Tkwiąc jedną nogą w przeszłości, a drugą w przyszłości, przeskakiwałyśmy niezdarnie od pierwszej miłości do macierzyństwa, małżeństwa, rozwodu, kariery, przekwitania, wdowieństwa — nigdy na dobrą sprawę nie wiedząc, czym lub kim miałybyśmy się stać, za każdym razem wytyczając nowy teren dla naszych uczuć.

Byłyśmy pionierami swojego życia, a ceną, jaką się płaci za pionierstwo, jest wieczny dyskomfort. Nagrodą zaś jest zadziwiające uczucie dumy z boleśnie nabytej tożsamości.

„Dokonałam tego!" — wykrzykujemy zaszokowane niemal i zdumione. „Dokonałam tego! Wy też możecie!"

Czy to mężczyźni się zmienili, czy kobiety? A może jedni i drudzy? Mój ojciec i dziadkowie, choć seks był dla nich ważny, nigdy by nie zostawili swoich dzieci, by odpłynąć w dal z jakąś młodszą kobietą. Może nie całkiem byli wierni. Może i byli świniami. Ale przynajmniej takimi świniami, które zapewniały byt. Na dłuższą metę trzymali się domu i umieli dać swoim kobietom pewne poczucie bezpieczeństwa, obecnie im nie znane.

Czy to kobiety spuściły ich ze smyczy, czy może historia?

Nade wszystko jednak, co z naszą duszą i naszym znaczeniem? To nie są puste słowa. To pokarm, który w miarę upływu lat jest nam coraz bardziej potrzebny.

„Nie tylko serce w piersi się porusza" — napisała pod koniec swego życia poetka, Louise Bogan. My, istoty ludzkie, tęsknimy za jakimiś obrzędami, które by nas przekonały, że jesteśmy częścią pewnego systemu, gatunku, częścią pokolenia. Ale zamiast tego proponuje się nam hormonalną terapię zastępczą albo wesołe opowiastki o tym, jak to fajnie jest mieć tę bajeczną pięćdziesiątkę.

Żeby nie było nieporozumień: takie wesołe opowiastki obrażają naszą inteligencję. Nie możemy tak łatwo zapomnieć, iż wychowywałyśmy się w świecie, który wykpiwał kobiecy wiek dojrzały. Nie możemy tak od razu zapomnieć powtarzanych od pokoleń dowcipów z długą brodą o starych babach, wiedźmach, prukwach. „Przekwitłe panie malarki" — tak mój dziadek artysta zwykł mawiać o kobietach, z którymi dzielił pracownię w Związku Studentów Akademii Sztuk Pięknych. Nie przyszło mi nawet do głowy, że uwaga ta zawierała deprecjację płci i wieku. Po prostu tak jak on nie uznawałam starych bab, właściwie nie zdając sobie sprawy z tego, że w ten sposób neguję swoją własną przyszłość.

Nie możemy oczekiwać, że nagle zobaczymy siebie w innym, lepszym świetle tylko dlatego, że nowe hasła zabrzmią w eterze lub też pojawią się na łamach tandetnych czasopism. Jesteśmy czymś więcej niż czytelniczkami kolorowych magazynów, odbiorczyniami przedstawień telewizyjnych, klientkami gabinetów kosmetycznych i domów mody. Mamy wewnętrzne blizny, wewnętrzne rany, wewnętrzne potrzeby. Nie może tak być, że przez pięćdziesiąt lat traktuje się nas jak przedmioty, po czym pochlebstwami skłania do politycznej uległości, gdyż właśnie przypomniano sobie (poniewczasie), że bierzemy udział w głosowaniu.

Wszędzie naokoło trąbi się o tym, jak to wspaniale jest mieć pięćdziesiąt lat, bo wyż demograficzny naszego pokolenia właśnie osiągnął ten wiek, uznawany dotychczas za niebezpieczny, a my prowadzimy różne interesy — choć właściwie robią to nasi mężowie i bracia. Rozglądam się wokół siebie i widzę, jak wybitne osobowości mojego pokolenia ciągle muszą pokonywać przeszkody, które stawia im ten system. Kobiety na dyrektorskich stanowiskach stale muszą dopraszać się o pieniądze u szefów, którzy są mężczyznami; pisarki i kobiety-wydawcy w dalszym ciągu odwołują się w swych sprawach do męskiego zwierzchnika; aktorki żebrzą choćby o maleńkie rólki, które byłyby prawdziwym odzwierciedleniem ich życia; artystki są opłacane gorzej, a ich dzieła rzadziej wystawiane niż ich kolegów i nieczęsto się słyszy o kompozytorkach czy dyrygentkach. Wszędzie kobietom oferuje się okruchy z pańskiego stołu. I to nie przegranym kobietom, ale tym najwytrwalszym i najświatlejszym. Nie malkontentki, nie kapryśnice, a już na pewno nie leniuchy podlegają nieubłaganym prawom podwójnej miarki — innej dla mężczyzn, innej dla kobiet.

Podczas gdy przeciętni mężczyźni są awansowani, dostają platynowe spadochrony, opcje finansowe, reprezentacyjne żony, nowe rodziny, nowe samochody, nowe samoloty, nowe jachty, my posuwamy się w latach i coraz niechętniej się nas zatrudnia. Oczywiście jesteśmy silne duchem, nikt w to nie wątpi, ale samą siłą ducha nie przezwycięży się dyskryminacji.

W świecie, w którym kobiety pracują w trójnasób za połowę wynagrodzenia, nasze osiągnięcia są przedmiotem oszczerstw, małżeństwo, jak też i rozwód obracają się przeciwko nam, macierzyństwo uważane jest za przeszkodę w drodze do naszych sukcesów, namiętności stają się pułapką, a zrozumienie okazywane ludziom — powodem, by nam mniej płacić.

We wczesnej młodości, spoglądając na świat, spostrzegłyśmy szerzący się gwałt, często przemilczany nawet w najpoważniejszych gazetach. Kiedy wychowywałyśmy małe dzieci, dochodziłyśmy do granic wytrzymałości, choćby z braku snu. Zaczął nas ogarniać gniew, prawdziwy gniew, po raz drugi w dorosłym życiu. Tylko że teraz wiemy, iż czas nas goni.

W końcu jednak próbujemy zrobić użytek ze swojego gniewu i zmienić świat. Ale nie przestałyśmy walczyć między sobą. Dopóki z tym nie skończymy, nasza siostrzana jedność będzie nadal bardziej pocieszającą teorią niż codzienną rzeczywistością.

Wyłania się następne ważne, a przemilczane dotąd pytanie: kiedy nareszcie kobiety zrozumieją, że powinny się zjednoczyć, a nie dzielić? Lecz jak tu się zjednoczyć, skoro społeczeństwo stale manipuluje nami, ustawiając nas na przeciwległych polach jak pionki na szachownicy?

Kończąc pięćdziesiąt lat, wariatka trzymana na poddaszu wyrywa się ze swojej klatki i podpala dom. Nie chce dłużej być więźniem. Druga fala gniewu jest częstszym zjawiskiem niż pierwsza. Nagle podziały wśród kobiet przestają mieć znaczenie. Stare czy młode, czarnoskóre czy białe, o orientacji hetero- czy biseksualnej, zamężne czy samotne, biedne czy bogate — wszystkie jesteśmy dyskryminowane, ponieważ jesteśmy kobietami. Ale nie wrócimy już do starego porządku głoszącego nierówność. Nie możemy. Za późno.

Gniew wieku średniego to straszny gniew. Mając dwadzieścia parę lat, a przed sobą małżeństwo i macierzyństwo, mogłyśmy się jeszcze łudzić, że nie zostaniemy zepchnięte na dalszy plan, że coś nas od tego ocali — osiągnięcia, małżeństwo, macierzyństwo. Teraz już wiemy, że nic nas nie ocali. My same musimy się ocalić.

Moje książki powstawały zawsze pod wpływem jakiejś gwałtownej namiętności. Pomimo faktu, że przez dwadzieścia trzy lata jakoś udawało mi się wieść niepewny żywot zawodowej pisarki, nie mogę pisać na zamówienie. Potrzebny jest mi naglący wewnętrzny głos, który powie: „Ta książka jeszcze nie istnieje, muszę ją stworzyć". Zawsze piszę tak, jakby od tego zależało moje życie — bo zależy.

Na początku *Zwrotnika Raka* Henry Miller cytuje Ralpha Walda Emersona: „Powieści ustąpią miejsca w przyszłości dziennikom i autobiografiom — książkom fascynującym, jeżeli tylko człowiek potrafi odróżnić to, co nazywa swoim doświadczeniem, od tego, co naprawdę nim jest, i jeśli potrafi prawdziwie tę prawdę odtworzyć". To proroctwo Emersona kobiety spełniają w większym stopniu niż mężczyźni. Podjęły tę myśl i rozwinęły ją w całą literaturę, zmieniając także męski sposób pisania książek.

Jestem za „najprawdziwszą prawdą". Żyjemy zresztą w czasach, w których dokument i relacja świadków mają taką moc jak niegdyś beletrystyka. Powieści i wspomnienia, które uznajemy za przewodniki w naszym życiu, mają walor szczerych wynurzeń, prawdy opowiedzianej prawdziwie, bez fałszywej skromności, za cenę wstydu i dumy.



Trudno jest mówić prawdę bez skrywania się pod czyjąś postacią; „autobiografia powinna być tak napisana, żeby autor mógł oskarżyć siebie o zniesławienie" — powiedział Thomas Hoving, najwyraźniej nie wiedząc, kogo parafrazuje. Mary McCarthy w swych *Intellectual Memoirs* powołuje się na George'a Orwella: „Autobiografia, która nie mówi czegoś złego o autorze, w żadnym razie nie może być dobra". McCarthy wyznaje zatem więcej grzechów, niż mógłby jej przypisać najzaciętszy krytyk. Poza tym ona już nie żyje, a to zawsze dodaje kobiecie uroku.

Obawa przed krytyką wielokrotnie wyciszała mnie w moim pisarstwie. Krytyka zaś nieraz była zajadła, mierząca we mnie osobiście i raniąca. Ale jest to jedna z pierwszych spraw, które kobieta pióra musi nauczyć się znosić — o czym przekonały się wszystkie pisarki, od Aphry Behn do George Sand, od George Eliot do Mary McCarthy. Pisarka nie opisuje doświadczeń powszechnie uznawanych w naszej kulturze za „ważne" i w przeciwieństwie do swych kolegów po piórze jej pisarstwo nie jest objęte żadną gwarancją. Najważniejszym zadaniem pisarki jest nauczyć się odporności na ośmieszanie.

Nieraz chcąc pisać o czymś szczerze i bez osłonek, wmawiałam sobie, że nie opublikuję tego (a jeżeli, to tylko pod pseudonimem — i to najlepiej męskim). Potem dawałam się nakłonić do podpisania książki swoim nazwiskiem pod wpływem pełnych sympatii listów od czytelników albo ze względu na wydawcę, któremu potrzebny był mój znak firmowy. Niemniej podczas samego procesu pisania tylko wtedy mogłam się czuć nieskrępowana i pozbyć się czyhającego za moimi plecami cenzora — matki? babci? — kiedy obiecywałam sobie, że słowa, które piszę, nigdy nie ujrzą światła dziennego.

W ten sposób napisałam *Strach przed lataniem* i wiele kolej-

nych książek, włącznie z tą. Pisaniu często towarzyszyło uczucie strachu, bywały okresy milczenia, po czym następował wybuch dzikiego, bardzo osobistego śmiechu, który sprawiał, że nagle cały ten koszmar okazywał się wart zachodu.

Wielką pociechą za skończenie pięćdziesięciu lat w społeczeństwie niezbyt łaskawym dla starszych pań jest to, że znacznie mniej już obchodzi je krytyka i w mniejszym stopniu obawiają się konfrontacji. W świecie stworzonym nie dla kobiet krytyka i ośmieszanie towarzyszą nam przez wszystkie dni naszego życia. Zwykle oznacza to, że postępujemy słusznie.

Czy to nie za wcześnie w wieku pięćdziesięciu lat zabierać się do pisania autobiografii? Na pewno tak. Ale być może w wieku osiemdziesięciu lat byłoby na to za późno.

Jak się ma pięćdziesiątkę, czas zaczyna naglić. Poczucie przemijania stało się ostatnio wyraźniejsze w związku z epidemią AIDS, która zabrała tak wielu przyjaciół w wieku dwudziestu, trzydziestu i czterdziestu lat. Kto wie, czy zdarzy się lepsza pora? Teraz jest najlepsza pora — zawsze.

Kiedy miałam dziewiętnaście lat, dwadzieścia dziewięć, trzydzieści dziewięć czy — Boże, dopomóż mi — czterdzieści dziewięć, wierzyłam, że nowy mężczyzna, nowa miłość, zmiana miejsca, przeprowadzka do innego miasta lub kraju w jakimś stopniu zmieni moje życie wewnętrzne.

Teraz już tak nie myślę.

Wiem, że moje życie wewnętrzne zależy od moich osiągnięć, nieważne, czy mam życiowego partnera, czy nie. Wiem, że następna szalona i namiętna miłość byłaby tylko chwilowym szaleństwem — jeśli nawet „chwilowe" oznacza dwa lub trzy lata. Wiem, że powinnam wzbogacać i rozwijać własną duszę, ale czy sama wspinam się na szczyt, czy z partnerem, nie jest już takie istotne.

W każdym związku człowiek potrzebuje autonomii, odosobnienia, prywatności. Nie będąc w żadnym związku, potrzebuje miłości własnej i szacunku dla samego siebie.



Piszę tę książkę pogodzona ze sobą, uleczona z gniewu, zachrypnięta od śmiechu.

W moim wieku wiadomo już, iż prawdziwym objawieniem jest śmiech, nie gniew.

Zakładam, że nie różnię się zbytnio od ciebie... i od ciebie. Chcę napisać książkę o swoim pokoleniu. Aby napisać o swoim pokoleniu i być nieskończenie uczciwą, mogę zacząć tylko od siebie.

## Rozdział 1

# *Strach przed pięćdziesiątką*

Rzecze ktoś: Razy pięćdziesiąt mówiłem
  Waćpanu — znak to, że go gniew unosi;
Rzecze poeta: Wierszy ukropiłem
  Pięćdziesiąt — strach ci, że je wnet wygłosi;
Bandę pół-setni zawsze obejdź tyłem;
  Miłość pół-wieczną prędko niemoc skosi,
Ale że miłość u dam tanią ma być,
Można za złotych pięćdziesiąt ją nabyć.

George Gordon, Lord Byron, *Don Juan*
(tłum. Edward Porębowicz)

*(Czy Byron bał się pięćdziesiątki?*
*Zapewne tak. Zmarł, mając trzydzieści sześć lat.)*

Kiedy zabrałam się do pisania o sobie, spostrzegłam, że pochopnie podjęłam się ryzykownego przedsięwzięcia, które łatwiej jest zacząć, trudniej doprowadzić do końca. Od dawna pragnęłam opisać historię swoich pierwszych dwudziestu lat życia i nigdy nie zapomniałam, jak będąc jeszcze nastolatką, zanosiłam rozpaczliwe wołania do starszej kobiety, która miała później wchłonąć bez reszty moje ciało i duszę, nie zostawiając nawet szczypty popiołu. Zaklinałam ją, by wskrzesiła kiedyś ducha mej młodości z otchłani, w której miałam się pogrążyć. Być może, napisałam swe książki jedynie po to, by mogło się spełnić moje dawne życzenie. W wieku pięćdziesięciu lat uznałam, że nadeszła stosowna pora.

Simone de Beauvoir, *W sile wieku*

Tak więc siedzę z Molly w uzdrowisku, w oczekiwaniu swoich pięćdziesiątych urodzin, obrzydliwie przygnębiona. Już nie jestem ani najmłodszą osobą w pokoju, ani najładniejszą. Nie będę ani Madonną, ani Tiną Brown czy Julią Roberts. Ani też inną gwiazdą sezonu — ktokolwiek nią będzie, kiedy ta książka się ukaże. Przez lata całe były to moje ideały — przyznawałam się do tego czy nie — ale już dłużej nie mogę sobie pozwolić na tego rodzaju ideały.

Z każdym rokiem nowe tabuny piękności kłują mnie w oczy na nowojorskich ulicach. Szczuplejsze w talii i bardziej jasnowłose, z bielszymi zębami i nieporównanie większą energią (za to mniej cynicznie patrzące na świat) roczniki, które opuściły szkoły w 1994 roku, 1984 albo i 1974, nieubłaganie zastępują nasz rocznik sześćdziesiąty trzeci z Barnard College. Przeszło trzydzieści lat po studiach większość moich rówieśników to *grandpères*, jak by powiedziała moja córka. Na przyjęciach podtykają mi pod nos zdjęcia bobasów — latorośli swoich latorośli.

Przez swoje spóźnione macierzyństwo nie mam jeszcze własnych wnuków, ale mam już parę ciotecznych wnucząt raczkujących w Libanie, Lozannie i hrabstwie Litchfield. Dzieci mojej starszej siostry przybliżają mi coraz bardziej status babci. Teraz należę do starszego pokolenia i wcale nie jestem pewna, czy mi się to podoba. Czasem łatwiej jest dostrzec coś, czego się nie ma, niż to, co się ma.

Kobiety, które już przeszły klimakterium, są w dalszym ciągu pełne energii (co obiecywała Margaret Mead), ale nie płynącej już



z optymizmu. Świat bardziej niż kiedykolwiek wydaje się tkwić w szponach materializmu i pozorów. Postrzega tylko postaci kreowane. Mój obraz z pewnością zaczyna blaknąć.

Co się stało z naszym dwudziestopięcioletnim sprzeciwem, który miał uświadomić, że nie chcemy być plastikowymi lalkami Barbie? Gdzie się podział gniew Naomi Wolf, rozprawiającej się z mitem piękności, czy Germaine Greer demonstracyjnie obnoszącej swoją starobabskość albo Glorii Steinem pokazującej nam, jak można z wdziękiem zaakceptować starość i w końcu wejrzeć w siebie, w swoje wnętrze.

Czy cały nasz gniew (i zamierzone przeistaczanie się) nie jest czasem tylko dodatkową pożywką dla telewizyjnych dyskusji, którą karmi się młodzieżowa kultura? Czy jesteśmy jedynie sabatem czarownic zabawiających się nawzajem w staromodnym saloniku? Piszemy i gadamy, upoważniamy jedna drugą do różnych rzeczy, ale chyba w niczym nie zmienia to obsesji nowości i młodości (młonowości?). Nasz świat zmieniających się obrazków wideo jest bardziej rzeczywisty i skuteczny niż same słowa. Zapanowała epoka telewizyjna i my, ludzie władający słowami, jesteśmy reliktami przeszłości, w której słowo mogło zmieniać świat, ponieważ było słyszane.

Obraz jest obecnie wszystkim. A czas właściwy dla obrazu to zawsze teraz. Historia przestała istnieć w migających obrazkach.

Takie nachodziły mnie myśli, gdy truchtałam z Molly po uzdrowisku, ćwicząc kroki z aerobiku, szybkie marsze i cały rytuał odchudzania, unikając własnego odbicia w lustrze. Molly wyciągała mnie z łóżka na wszystkie zajęcia, więc zrzuciłam tyle samo kilogramów, ile zawsze zrzucam (a potem odzyskuję), opiłam się wody mineralnej, dotleniłam organizm i poczułam się odnowiona, ale nie poprawiło to mego nastroju. Stałam wobec odwiecznych pytań: zrobić *face-lifting* czy nie? Czy zdecydować się na to przed podróżą promocyjną swojej najnowszej książki?

Gorsza od rozpaczy nad nieuchronnie przemijającą urodą (i dylematem, czy ją „poprawiać") była rozpacz nad pesymizmem schyłku życia. Już nigdy więcej się nie zdarzy — myślałam —

że wejdę do czyjegoś mieszkania i ujrzę tam wspaniałego mężczyznę, który odmieni moje życie. Pamiętam, jak szalone romanse zaczynały się od błysku w oczach i fali wzbierającej adrenaliny, co zawsze prowadziło do wzlotów. Dzięki unikaniu takich wzlotów i ustatkowaniu się, dzięki wyzbyciu się skłonności do przypadania do następnej pary spodni co siedem lat, osiągnęłam wewnętrzny spokój. Potrzebna mi była zaduma, nie nuda; mądrość, nie rozpacz; pogoda ducha, nie apatia. Erupcja energii seksualnej zawsze pozostawiała po sobie następną książkę, wywoływała życie pełne przygód — wiodące donikąd — które w wieku pięćdziesięciu lat zaczęło wydawać się nieprzemyślane i głupie. W końcu „ustatkowałam się", by uprawiać swój ogródek. Pozostawało tylko pytanie, gdzie jest mój ogródek i co powinnam w nim uprawiać.

I to jest chyba problem podstawowy, czyż nie? Tak naprawdę nie można pogodzić się ze swoją śmiertelnością i śmiercią, jeśli nawet się zlikwiduje obwisły podbródek czy worki pod oczami. Ostatecznie można wyglądać dobrze na zdjęciu w kolorowym piśmie, ale w życiu pozostają blizny. Prawdziwy problem polega na tym, jak rozwijać się wewnętrznie w społeczeństwie ukierunkowanym dokładnie odwrotnie, czym karmić własną duszę, tkwiąc w samym centrum materializmu, jak wsłuchiwać się w rytm własnego werbla, kiedy zagłusza go muzyka alternatywna, rap i hip-hop.

Najbardziej się sprawdziło proroctwo pisarza Thoreau, który tak określał dylematy Zachodu: „Strzeżcie się wszelkich przedsięwzięć, które wymagają nowego stroju". Pod tym względem współczesne kobiety są w większym stopniu jego spadkobiercami niż mężczyźni. Naszym kamieniem probierczym jest filozofia AA określona przez Billa W. (bez względu na to, czy jesteśmy alkoholikami czy nie), ponieważ zawsze jesteśmy spragnieni ducha, szukając go w najbardziej niewłaściwych miejscach (w alkoholu, narkotykach, pieniądzach, nowych ubraniach) i w końcu odnajdując się tylko wtedy, gdy zagubimy się w otaczającym nas materializmie, w jakim zostałyśmy wychowane.



Nasz problem to śmiertelność, a nie operacja plastyczna twarzy. Czy potrafimy pogodzić się ze śmiertelnością, a nawet ją pokochać? Czy potrafimy przekazać swoją wiedzę naszym dzieciom, po czym odejść, mając świadomość, że przemijanie jest naturalnym porządkiem rzeczy?

Oto jest problem, przed którym u progu pięćdziesiątki staję ja i stają moje rówieśnice. Natrafiłyśmy na duchową próżnię w naszym życiu. Bez duchowego bogactwa nie sposób pogodzić się ani ze starością, ani ze śmiercią. Ale jakże kobiety mają znaleźć swą duchową tożsamość w społeczeństwie, w którym funkcjonują przede wszystkim jako konsumentki, gdzie każda próba zdobycia własnej niezależności i tożsamości rozbija się o kategoryczny dyktat rynku — rynku, który wciąż postrzega nas jako konsumentki wszystkiego — począwszy od hormonów, przez kapelusze, kosmetyki, a na operacjach plastycznych skończywszy.

Szwendam się więc po uzdrowisku ze swoją córką i wiem, że to nie chodzi wcale o moje ciało, ale o to, czy mam prawo do nieśmiertelnej duszy.

Już samo to określenie brzmi podejrzanie. Kobiety? Dusza? Nieśmiertelna? Niemal słyszę prześmiewcze okrzyki. A jednak cały problem w tym właśnie się zawiera — czy kobiety mają prawo do swojej własnej duszy, czy go nie mają. Nie jest to kwestia „nowej ery" czy terapii „dwudziestu kroków".

Jeżeli masz własną duszę, nie musisz bać się pięćdziesiątki.

Cofam się pamięcią dokładnie trzy lata przed swymi pięćdziesiątymi urodzinami, kiedy mój wewnętrzny zegar tykał niemiłosiernie.

Siedzę w samolocie lecącym do Szwajcarii, gdzie mam być gościem weselnym na ślubie swojego dawnego kochanka, a obecnie przyjaciela.

Jest on pięknym rzymianinem, młodszym ode mnie o dziesięć lat, i właśnie się żeni z niemiecką księżniczką, młodszą od niego też o dziesięć lat.

Czuję się szczęśliwa ze względu na nich, ale jednocześnie trochę zawiedziona. Nie dlatego, że pan młody i ja nadal się kocha-

my, raczej dlatego, że wiedliśmy nie kończące się rozmowy o tym, jak to kiedyś zwiążemy się ze sobą (oboje byliśmy stanu wolnego), i oto teraz on bierze ślub, a ja nie.

Nie chcę znów wychodzić za mąż, tak myślę (mam wtedy niecałe czterdzieści siedem lat). Jestem wolna. Moja wolność polega na tym, że jestem uwikłana w odległy *ménage à trois* z innym uroczym Włochem — taki rodzinny trójkąt z mężczyzną, który nie może się zdecydować, by odejść od żony, podczas gdy ja również spotykam się z wieloma mężczyznami, którzy tak jak ja boją się związać z kimkolwiek. Moje życie to towarzyska karuzela, ale jakoś nigdy nie potrafię zrelaksować się w łóżku jedynie z książką w ręku. Choć nie przyznaję się do tego, to jednak jadę na ten ślub po to, by znaleźć idealnego mężczyznę. Oczywiście nie wierzę w istnienie idealnych mężczyzn. I oczywiście mimo to mam nadzieję takiego spotkać.

Ślub odbywa się w niewielkim ratuszu w górskiej wiosce, która wygląda jak wyrzeźbiona w zegarze z kukułką. Piękni nowożeńcy podpisują akt ślubu, wypowiadają słowa przysięgi (pan młody mówi *si*, panna młoda *ja*) i w tym samym momencie urzędnik, który udziela im ślubu, pada z hukiem na podłogę z siną twarzą, widocznym znakiem zawału. Dla mnie jest całkowicie jasne, że urzędnik nie żyje — *gestorben, morto*. Krewni rzucają się do telefonu, by wezwać pogotowie, i nerwowo pocieszają się nawzajem. (W każdym razie Niemcy zapewniają się wzajemnie, że urzędnikowi nic nie będzie, Włosi zaś szepczą złowieszczo: *maledizione, maledizione*).

Wkrótce karetka na próżno pędzi do szpitala z nieodwołalnie martwym sędzią, a wyciszeni, opanowani weselnicy kierują się zaśnieżonymi uliczkami do góralskiej willi matki panny młodej, gdzie odbywa się przyjęcie. Wznoszą toasty, słychać, jak dźwięczą kielichy z szampanem. Rodzina niemiecka zarzeka się, że nic złego się nie stało, ale Włosi załamują ręce w geście mającym odstraszyć złego ducha.

Mimo że wszyscy temu zaprzeczają, zdarzenie to kładzie się cieniem na weselu. A jednak dziecko, które pojawia się w przepisowe dziewięć miesięcy później, jest piękne i jasnowłose, doskonałe pod każdym względem. Państwo młodzi zaś są tak szczęśliwi jak Kandyd i Kunegunda w świecie najlepszym ze wszystkich. Śmierć kładzie się cieniem na życiu, ale życie toczy się dalej.



Na kolacji weselnej, która odbywa się w okazałym, lecz dostatecznie rustykalnym pałacyku myśliwskim, należącym do innej krewnej panny młodej, przypada mi miejsce obok przystojnego playboya (Monako, Paryż, Londyn), który widząc wizytówkę z nazwiskiem, wskazującą moje miejsce, kusi mnie dowcipną propozycją: „Pisze pani nieprzyzwoite książki. Będzie pani nieprzyzwoita ze mną?"

Robi mi się ciężko na sercu. Ponury nastrój dopada mnie w połowie zabawy. Moja reputacja jest rodem ze świńskiego kawału, mój najlepszy przyjaciel zaś właśnie się ożenił. Wypijam za dużo alkoholu, przesadnie rzucam się w wir tańca, całuję państwa młodych na pożegnanie i znikam w śnieżycy, wsparta na ramieniu przyjaciela-pederasty (u którego się zatrzymałam). Obudzę się o trzeciej nad ranem w jego gościnnym pokoju na poddaszu, płacząc i załamując ręce.

Rano wapory znikają, przepędzone słońcem odbijającym się na śniegu. Z przyjacielem jadę przez Alpy. Zatrzymujemy się po drodze w rybnej restauracji, jemy pstrągi i rozmawiamy. W końcu mijamy jezioro Como, Mediolan i docieramy do Wenecji, gdzie czeka na mnie mój kochanek.

Jak zwykle seks ma tę cudowną właściwość, że czas przestaje się liczyć i przez trzy dni czuję się szczęśliwa. Siedzimy w łódce kołyszącej się na lagunie, patrzymy, jak weneckie miraże unoszą się nad wodą. Żegnamy się, przyrzekając sobie, że połączymy się „któregoś dnia" (kupię *palazzo* w sąsiedztwie jego żony i on będzie składał mi wizyty rano i wieczorem — przez tunel, jak się domyślam).

Świeże szczęście rodzinne mojej starej sympatii zakłóciło jednak ten stan równowagi. Jasne, że potrzebna jest mi dusza, by stawić czoło pięćdziesiątce, ale czyż nie jest mi także potrzebny partner i przyjaciel? Czy nawet wyzwolonym kobietom nie są potrzebni przyjaciele?

Z pewnością mogłabym jeszcze przez parę następnych lat wypożyczać cudzych mężów. Zawsze jest ich na pęczki do wynajęcia. Ale nie chodzi o to. Mogę mieć własne domy, konta bankowe, wspaniałą córkę i w jakimś stopniu czuwać nad swoją przyszłością, ale prawda jest taka, że dryfuję, nie jestem zakotwiczona w świecie. Nie panuję nad starzeniem się ani nad losem swoich książek. I jestem samotna. Może nie jest mi potrzebny mąż, ale z całą pewnością potrzebny jest mi przyjaciel.

Po raz pierwszy w swoim dorosłym życiu zaczynam się zastanawiać nad małżeństwem moich rodziców. Jakoś mi tęskno za nimi, jak za małżeństwem, które kiedyś znałam. Moi rodzice pod koniec dnia byli przyjaciółmi — chichotali w łóżku i głośno czytali sobie „New Yorkera". Śmiech nigdy im się nie znudził. Pamiętam ich łóżko zarzucone książkami i ożywione dyskusje przetykane strofami S.J. Perelmana, czytanymi na głos.

Mam prawie pięćdziesiąt lat i nikogo przy sobie, komu mogłabym głośno czytać. Mam kochanków i przyjaciół. Ale przyjaciel, który był także kochankiem, właśnie się ożenił. I to wzmaga moją samotność.

Dlaczego wszystkie niezależne kobiety, które znam, są samotne? I dlaczego wszyscy zaprzyjaźnieni ze mną panowie żenią się z kobietami młodszymi od siebie? Kiedy wracam do Nowego Jorku, moja zbroja już nie jest taka szczelna. I kiedy przyjaciółka chce mi kogoś przedstawić, nieoczekiwanie dla samej siebie mówię: „tak".

Oczywiście wszystko się zaczęło od ślubu moich rodziców. Ona miała osiemnaście lat, on dziewiętnaście, kiedy spotkali się w Catskill Mountains. On pochodził z Brownsville, a ona z Washington Heights. Jego ojciec i matka byli polskimi Żydami o niemieckim nazwisku: Weisman. Jej ojciec i matka byli rosyjskimi Żydami z Anglii i nosili rosyjskie nazwisko: Mirski.

Zakochali się z powodu bębna. On widząc, że ona maluje (oraz że jest ognista i ruda), zaprosił ją do siebie, by „pomalowała jego bęben". Ona zaś widząc, że on jest przystojny, niebieskooki i dobrze gra, zgodziła się. Malowała jego bęben i flirtowała z nim. Więc wkradł się do jej łóżka. Zanim skończyło się lato, Eda Mirski i Samuel Nathaniel (Seymour) Weisman postanowili się pobrać. Byli bardzo młodzi, a wtedy szalał Wielki Kryzys.



Jej ojciec powiedział: „Co? Chcesz wyjść za *barabanczika*?" (To dobosz po rosyjsku).

Jego matka powiedziała: „Wydaje mi się, że ona cię wykorzystuje". Ale feromony są silniejsze od rodzicielskich przestróg. Wzięli ślub w ratuszu trzeciego marca 1933 roku.

Pierwsze wspólne lata były dla nich ciężkie. On pracował nocami w małym *boîtes* — Bal Musette, Bal Tabarin, a ona siedziała w domu. Jego wiodły na pokuszenie niezliczone pieśniareczki i skręty z marihuany. Ona zaś czekając na niego długo po północy, zaczęła się zastanawiać, czy nie popełniła błędu. Jej ojciec zdążył już zostać wziętym portrecistą, artystą komercyjnym, zasypywanym zamówieniami znakomitej klienteli. Miał wschodnie dywany i wykwintną porcelanę i wiódł życie dalekie od rosyjskiego *sztetł*, gdzie przyszedł na świat.

Nawet w czasie Wielkiego Kryzysu rodzicom mojej matki powodziło się dobrze — chociaż lata chłopięce mego dziadka spędzone w Odessie upłynęły w strasznej biedzie — moja babka więc, jak wiele innych babek, wychodząc za mąż, popełniła oczywisty mezalians. Była córką rosyjskiego leśnika i handlarza drewnem, który wyemigrował do Londynu. Tam, zgodnie z rosyjską tradycją, odbyły się zaręczyny i ślub. Było to przed pierwszą wojną światową. W Londynie jej rodzice prowadzili sklep warzywny na East Endzie, do czasu aż nie wybawił ich od tego najstarszy syn, który dorobił się majątku — wtedy stali się ziemianami i osiedli na wsi.

Pogrążona w smutnej rzeczywistości, jako żona ubogiego trubadura, moja matka przejrzała na oczy — tak jak kiedyś moja babka. Dla młodych ludzi małżeństwo nigdy nie jest sprawą łatwą (jeszcze trudniejszą jest dla osób w średnim wieku). Matka malowała, pracowała u Bloomingdale'a w salonie wystawowym sztuki, projektowała ubrania i tkaniny, podczas gdy ojciec dostał swoją pierw-

szą pracę w wystawianym na Broadwayu *Jubileuszu* Cole'a Portera, gdzie na scenie wraz z zespołem grał *Zacznijmy béguine*.

„Ja pierwszy znałem tę piosenkę" — do dziś się tym chwali.

Sukces był blisko. Ale kiedy w 1937 roku moja matka zaszła w ciążę, postawiła ojcu ultimatum — ja albo show-biznes.

„Czy opowiadałam ci kiedyś o tym — pyta — jak tata przyprowadził do domu dwadzieścia dziewcząt z rewii, a ja byłam w zaawansowanej ciąży, nosząc twoją starszą siostrę? Otóż dziewczyny były tak piękne, a ja tak ciężarna, że następnego dnia rano wsiadłam na rower i przejechałam całą Riverside Drive z mocnym postanowieniem, że będę jeździć, aż pozbędę się tego dziecka. — Śmieje się. — Byłam wtedy w ósmym miesiącu ciąży!"

Nie pozbyła się dziecka. Przypięło się do niej jak pijawka, jak to małe dzieci. A ojciec w końcu rzucił show-biznes.

Czy można wybierać między miłością a pracą? (Od wieków kobiety są do tego zmuszane, ale w końcu widzimy, że wybór taki jest niemożliwy). Wiem, że mój ojciec odniósłby sukces we wszystkim, co by zamierzył, był dostatecznie wytrwały, żeby wszystko osiągnąć. Ale matka nie mogła znieść myśli o tym, że on miałby być wędrownym trubadurem, a ona pozostałaby na bocznym torze, słynna artystka oddająca się macierzyństwu, tak więc to ona miała wygrać tę batalię.

Kiedy urodziła się moja starsza siostra, matka, wyczerpana nie kończącą się harówką związaną z pielęgnacją dziecka, przeprowadziła się do wygodnego domu swoich rodziców. Ojciec w dalszym ciągu pracował nocami, a matka wciąż miała zastępy wielbicieli.

„Jak to możliwe — zapytuje retorycznie — że ja, mężatka z dzieckiem, miałam tylu wielbicieli? Ale tak było".

Jednym z nich okazał się lekarz, ktoś, kto miał solidny zawód. Matka zaczęła się zastanawiać nad rozwodem.

Brat ojca przyszedł zabrać jego rzeczy z powrotem na Brooklyn.

„Zostaw go, jeśli nie jesteś szczęśliwa — powiedziała do mojej matki babka, która sama tak właśnie postąpiła. — Będę ci pomagała w miarę możliwości".

O mały włos w ogóle by mnie nie było.



Tym razem również feromony przeważyły i rodzice zeszli się ze sobą. Seymour został komiwojażerem sprzedającym *czoczkes*. Eda powtórnie zaszła w ciążę. W 1942 roku przyszłam na świat.

„Urodziliśmy się, a co było przedtem, pozostaje tajemnicą", pisze V.S. Pritchett w swoich pamiętnikach zatytułowanych *Taksówka u drzwi*. Vladimir Nabokov w książce *Speak Memory* opowiada o pustej dorożce na podjeździe, czekającej na jego narodziny. Medytujemy o dniach poprzedzających naszą świadomość, ponieważ zapowiadają one naszą nieśmiertelność (z którą przez całe życie próbujemy się jakoś uładzić — jeżeli w ogóle nam się to udaje).

Co by było, gdybym nigdy się nie narodziła? Czy byłoby to gorsze od śmierci? A może lepsze? (Zbliżam się do ostatecznego unicestwienia, więc lepiej, bym wkrótce rozstrzygnęła ten dylemat. Więcej czasu mam poza sobą niż przed sobą).

Myślę o kryzysie małżeńskim swoich rodziców jako o czasie, w którym krążyłam wokół nich, zastanawiając się, czy w ogóle zostanę poczęta.

Przywołana ich miłością — ambiwalentną jak każda miłość — przyszłam na świat jako słabowite dziecię, odwodnione przez biegunkę, z czerwonym, powiększającym się znamieniem na szyi i uczulone na mleko.

Stale zapytuję matkę, o której godzinie się urodziłam, gdyż chciałabym mieć swój horoskop. (Moja metryka gdzieś się zgubiła. Szpital, w którym się urodziłam, został zamknięty, a w miejscowym archiwum nie da się odszukać żadnych metryk).

„Kto to wie? — odpowiada. — Trwała wtedy wojna. Było za mało lekarzy. Pielęgniarka przytknęła mi do twarzy maskę z eterem, chcąc ukryć fakt, że urodziłam przed przybyciem lekarza. Ugryzłam ją w rękę! Krzyknęłam: »Dziecko już się urodziło! Jak pani śmie mnie usypiać?«"

Tak więc zostałam zrodzona w samym centrum gorejącego buntu feministycznego: moja agresywna matka ugryzła pielęgniarkę w rękę, nie chcąc przyjąć narkozy.

Musiałam okropnie wyglądać.

„Czy musimy zabierać to do domu?" — miał spytać mój ojciec, kiedy zobaczył mnie po raz pierwszy. (Albo wypadłam z łóżeczka i w ten sposób nabawiłam się tego słynnego naczyniaka, albo już się z nim urodziłam. Tak czy inaczej każdy uważał, że byłam szkaradna).

— Wszystkie dzieci na tym oddziale umarły na zakaźną biegunkę — powiada moja matka.

— Wszystkie?

— Tak mi się wydaje. Tylko ty przeżyłaś, bo ja za wszelką cenę starałam się utrzymać cię przy życiu.

Trudno mi dociec, czy epidemia okazała się zgubna dla wszystkich noworodków bez wyjątku. Ważne, że matka była i jest przekonana, iż tylko ja przetrwałam tę dziecięcą plagę.

Mój ojciec nie kryjąc rozczarowania, że nie okazałam się potomkiem płci męskiej, próbował ze mnie zrobić chłopca. Uczył mnie więc gry na bębnie, rzutów do kosza i wzgardliwego nieuznawania kobiecych ograniczeń. Przez dłuższy czas myślałam, że jestem chłopcem w dziewczęcym przebraniu. Kiedy później różni psychoanalitycy napomykali o czymś, co się określa mianem „zazdrości o penisa", zakrzykiwałam ich. Byłam przekonana, że mam penis. Czemu więc miałabym być zazdrosna?

„Kochałam cię mocniej, ponieważ musiałam stoczyć ciężką walkę o twoje życie" — powiada matka. I kolejny raz snuje rodzinną opowieść o mleku bez laktozy, sprawdzanym na wieczornych obchodach, o tym, jak niemal umarłam z głodu i jak mnie kochała pomimo paskudnego szkarłatnego znamienia, które w cudowny sposób skurczyło się i niemal znikło po dwóch miesiącach, tak że w końcu stałam się różową dziewczynką o jasnych jak len włosach.

„Nie zwracałam uwagi na twój wygląd, dopóki nie wyładniałaś — mówi — ponieważ musiałam cię kochać, byś przeżyła".

Moja starsza siostra Suzanna (Shoshana Miriam, nazywana w domu Naną, bo tak któreś dziecko wymawiało jej imię) już od chwili urodzenia była skończoną doskonałością — okrąglutka, o kasztanowych włosach i jasnych oczach. Ja miałam zostać brzydkim kaczątkiem, które z tego powodu bardziej kochano — przynajmniej tak głosi rodzinna legenda.



Kiedy byłam młodsza, wyśmiewałam tę opowieść, ale teraz w nią wierzę. Dostrzegam coś kosmicznego w żarliwych wysiłkach utrzymania dziecka przy życiu. Zawiera się w tym wszystko. Determinacja matki i nocne wyprawy ojca po mleko pozwoliły mi przeżyć. A ponadto rodzice na szczęście trafili na niekonwencjonalnego pediatrę.

Doktor Aubrey McLean był upartym Szkotem, który odważył się przeciwstawić mlecznemu lobby. Pięćdziesiąt lat temu uznał, że jestem uczulona na krowie mleko, i kazał mi podawać mleko zakwaszone specjalnymi bakteriami oraz surową siekaną wątróbkę. Żebym nie wiem ile razy fajdała, miałam być wciąż karmiona — jakaś część jedzenia musiała przecież zostawać we mnie. Przychodził codziennie, żeby mnie zbadać, a także posiedzieć z moją matką i porozmawiać o dzieciach, życiu, przeznaczeniu, o tym, jak nienawidził lekarskiego establishmentu, który się odciął od niego i jego radykalnych poglądów. Ponadto sobie popijał.

„To on uratował ci życie — twierdzi mój ojciec. — W całej tej historii on zajmuje ważne miejsce. Albo może po prostu kochał się w twojej matce".

Kto to może wiedzieć? Doktorze McLean, gdziekolwiek jesteś, dziękuję ci.

Urodzona podczas wojny, w dużej rodzinie o tradycjach europejskich — rodzice, siostra, rosyjskojęzyczni dziadkowie ze strony matki (którzy nigdy nie nauczyli nas rosyjskiego, żeby mieć swój sekretny język) — pamiętam pierwsze zabawy w „uciekanie przed nazistami", a także babcię szorującą mi ręce szarym mydłem, żeby zmyć z nich „Niemców". Tak oto wojna wdarła się w moje dzieciństwo. Pamiętam, jak całkiem świadomie moczyłam się w nocy, by móc pójść do łóżka rodziców i spać w najbezpieczniejszym miejscu na świecie — między nimi, zarówno łącząc ich w ten sposób, jak i dzieląc. Pamiętam, jak wpatrywałam się w sufit ich sypialni, aby oglądać grę świateł — „marchewkę z groszkiem", jak nazywałam kalejdoskop zielonych i czerwo-

nych błysków, gdy znów zamykałam oczy w ich dużym, ciepłym łóżku.

„Diabliki pod powieką" — tak Dylan Thomas nazywał owe migoczące żyjątka. Czy to te diabliki tworzą poetę?

Niewiele pamiętam z wczesnego dzieciństwa i zwykle są to same obrazy. Widzę siebie siedzącą w wózku, gdy wożono mnie po parku, a ja spoglądałam w górę na miriady zielonych liści, w których załamywało się światło. Zawsze czuję się nieskończenie szczęśliwa, gdy patrzę na liście, więc domyślam się, że musi to mieć związek z wczesnodziecięcym zauroczeniem. Liście w parku, złudzenia wzrokowe wywoływane przez ośmiokątne małe kafelki w łazience, które zdawały się tworzyć tunel do innego świata, gdy pochylona na swoim tronie wpatrywałam się w zmieniające się konfiguracje na posadzce — to moje najbardziej wyraźne wspomnienia.

Do czasu ukończenia przeze mnie dwóch lat żyliśmy w mieszkaniu, które odtwarzam we wszystkich swoich marzeniach — para barbarzyńskich włóczęgów zajmująca ostatnie trzy piętra domu pod numerem czterdzieści cztery na Zachodniej Siedemdziesiątej Siódmej Ulicy, naprzeciwko Muzeum Historii Naturalnej. Sprowadziliśmy się tam w 1944 roku z Castle Village w Washington Heights i mieszkaliśmy aż do 1959 roku, kiedy to przeprowadziliśmy się do następnego przedwojennego *palazzo*, Beresfordu, od północnej strony muzeum.

Dom zapamiętany z dzieciństwa zawsze jawi mi się okazały i tajemniczy. Był to dom wzniesiony specjalnie dla artystów, z pracownią wychodzącą na północ. Zda się, że zawsze szukaliśmy północnego oświetlenia jak rośliny, które wyginają się, by dotrzeć do światła.

Mieszkanie, jakie zachowałam we wspomnieniach, przypuszczalnie ma niewiele wspólnego z jego obecnym wyglądem, znacznie wytworniejszym niż w latach czterdziestych, latach mojego dzieciństwa. Pamiętam w salonie kominek obramowany głowami lwów, jadalnię wychodzącą na dziedziniec, ozdobioną ciemną boazerią i gotyckimi łukami, staroświecką gazową kuchnię z okapem i ocynkowany zlew, sypialnie, do których wchodziło się z zakrzywionego holu, oraz wykładane kamieniem foyer z gotyckimi ozdobami z drewna, połączone z holem, także wykładanym kamieniem, gdzie mieściła się winda z lustrami i drewnianą boazerią, której poskręcane listwy przypominały sowy czające się wśród gałęzi osnutych mrokiem nocy.



Salon miał podwójną wysokość, a jego sufit pokryty był tak zwanymi złotymi liśćmi (zerwanymi — jak sobie przedstawiałam w dziecięcej wyobraźni — ze złotych drzew). Z sufitu w kolorze spatynowanego złota zwieszały się cztery świeczniki w weneckim stylu. Frontowe okna wychodziły na muzeum o kamiennej fasadzie z piaskowca, z zielonkawymi wieżyczkami w kształcie stożka; z przeciwległych okien widać było słoneczny dziedziniec i gęsto zadrzewiony park Nowojorskiego Towarzystwa Historycznego, a także rząd okazałych willi przy Siedemdziesiątej Szóstej Ulicy. Nad oknami salonu mieliśmy balkon, na którego balustradach powiewały balijskie batiki z tańczącymi demonami. Dwie kondygnacje wyżej mieściła się pracownia Papy (mego dziadka), z drzwiami w podłodze, sufitem spiczastym jak kapelusz czarownicy i dwoma ogromnymi oknami, z których jedno wychodziło na północ (dając niezmienne światło, potrzebne każdemu artyście), a drugie na południe (o zmiennym natężeniu światła, dlatego często zasłaniane grubymi zielonymi storami, które przesuwało się, pociągając za sznury).

Pracownia Papy — zapchana rekwizytami artysty, takimi jak: pośmiertne maski (Beethovena, Keatsa, Voltaire'a), prawdziwa czaszka i szkielet, reprodukcje koni z dynastii Tang — stanowiła miejsce, w którym można się było schronić, ale też napawające lękiem. Unosił się tam cudowny zapach terpentyny i farb olejnych, jak w zaczarowanym lesie. Lecz na widok pośmiertnych masek Beethovena i Keatsa, czaszki i szkieletu ciarki przechodziły po plecach. Nie chciałabym znaleźć się tam sama w nocy.

Każdego roku podczas Halloween w pracowni opowiadało się historie o duchach i wampirach. Płomyk świecy oświetlał czaszkę, a szkielet i pośmiertne maski przybrane były całunami białych

prześcieradeł i wyglądały jak członkowie Ku-Klux-Klanu. Papa zaczynał malować następną czaszkę (może Yoricka?) na zaskorupiałych od farb starych sztalugach, które towarzyszyły mu w jego podróży przez Edynburg, Bristol i Londyn wiele lat temu, kiedy wyruszał na podbój Nowego Świata. Uciekał wówczas przed powołaniem do wojska w Anglii, tak jak kiedyś, jako kilkunastoletni chłopak z Odessy, uciekał przed poborem do rosyjskiego wojska. Sądzimy, że sami kierujemy naszym życiem, tymczasem wiatry historii mogą nas wznosić i rzucać o ziemię. Mój dziadek (tak jak i wasz) uciekał z Europy, bo uciekał przed wojnami.

Matka opowiadała nam o Drakuli, ozdabiając swą opowieść krwawymi szczegółami, a dzieci piszczały ze strachu i zachwytu, słuchając o zmorach, wampirzych kłach i bladolicych dziewicach, coraz bardziej anemicznych na skutek ich nocnych spotkań.

W powszednie dni dziadek zawsze mnie chętnie widział u swego boku, przy sztalugach. Przygotowywał mi niewielkie płótna, które sam z dumą naciągał, i dawał mi dodatkową paletę z soczystymi barwami, takimi jak szkarłat alizarynowy, jasna czerwień, seledyn, błękit kobaltowy, żółć chromowa, surowa umbra, chińska biel, po czym przymocowywał do otworu na kciuk w palecie dwa maleńkie metalowe pojemniczki — jeden na pokost, drugi na terpentynę.

„Nie zamulaj farb" — przykazywał Papa, wręczając mi pędzle, jeden sobolowy, a drugi ze świńskiej szczeciny.

Malowałam więc u boku swego dziadka, zachwycona w najwyższym stopniu, odurzona zapachem terpentyny i szelestem pociągnięć pędzla. Przy pracy Papa pogwizdywał rosyjskie romanse i pieśni czerwonoarmistów. Równie dobrze mogła to być Siedemdziesiąta Siódma Ulica, jak i nabrzeże Dniepru.

Papa był surowym nauczycielem. Jeśli „zamuliłam farby" albo nie dość serio traktowałam swoje malowanie, przepędzał mnie z pracowni, wymachując kijem malarskim, który ze świstem przecinał powietrze. Nie musiał mnie bić, wystarczało, że na mnie krzyczał. W wielu książkach pisze się o maltretowaniu i dręczeniu dzieci; dla mnie wystarczającym dręczeniem był krzyk dziadka.



Jakże to niemodne obecnie — przyznać się, że jako dziecko nie byłam maltretowana. Może tylko psychicznie. Ale to wystarczy.

Dziadek miał pracownię, ojciec swoje biuro, matka natomiast, gdy tylko mogła, ustawiała składane sztalugi, gdzie popadło, i szczerze tego nie cierpiała. W tym czasie rządy w domu sprawowała moja babka. Pokrzykiwała na jamajską służącą, Ivy, by mieć pewność, że wszystko zostanie zrobione jak należy.

Iviana Banton była zadziorną kobietą z Indii Zachodnich. Prowadziła nam gospodarstwo (na ile pozwalała jej na to babka). Miała ręce pokryte z wierzchu błyszczącą, czarną skórką, od wewnątrz zaś rozkosznie różowe. Uwielbiałam jej akcent, a sposób mówienia charakterystyczny dla mieszkańców Indii Zachodnich wciąż pieści moje ucho.

Ivy była brzydka, miała na nosie ogromną brodawkę, z której wyrastały włosy, ale zdawała się pełna sił i życia. Dość wcześnie się przekonałam, że ważniejsze jest być pełnym sił i życia niż pięknym.

Mimo niezliczonych sesji psychoanalitycznych, których mnogość wystarczyłaby na obsłużenie wszystkich mieszkańców niewielkiego państewka, zepchnęłam w niepamięć wczesne wspomnienia o matce. Wiem tylko, że jednocześnie uwielbiała mnie i opierała się temu uczuciu, chciała być z niego oczyszczona, tak jak woda pitna z niezdrowych składników. Kochałam ją nad życie, ale przerażała mnie jej zmienność w uczuciach. Starsza siostra często stosowała wobec mnie fizyczną przemoc, wykręcając mi na przykład ręce, aż padałam na podłogę i wiłam się z bólu, dręczyła mnie też, „wygrywając" w kości lub w karty mój złoty zegarek albo ośmieszając mnie przed koleżankami. Byłam terroryzowana w dzieciństwie przez obie te kobiety, ale niemal całkowicie wymazałam z pamięci tamte wspomnienia.

Niemniej dochodzę do wniosku, że mój ugodowy charakter, skłonność do tłumienia i ukrywania nawet przed samą sobą gniewu, który wybucha w wiele lat później, zaprawianie jadem pióra, by zabić swoich krewnych, wszystko to ma swój początek w psychicznej przemocy, o której starałam się nie pamiętać.

dzieńcem, ani kawalerem i nie przepadał za bananami. Rosyjski Żydek z Odessy stał się człowiekiem światowym (lub przynajmniej należącym do Manhattanu). Czy byłby w stanie tam powrócić? Okazało się, że nie. Zarówno on, jak i babka za bardzo tęsknili za wnuczkami. Paryż nie mógł im nas zastąpić. Sześć miesięcy później Papa i Mama przypłynęli z powrotem.

Znów zaczął się cyrk. Papa i Mama chcieli się do nas wprowadzić, natomiast moi rodzice (i ich psychoanalityk) nie godzili się na to. Papa i Mama pochodzili z epoki przedfreudowskiej, nie rozumieli więc tego wszystkiego i nosili w sobie urazę do końca życia. Matka znalazła dla nich kolejny pałacyk na West Side, ale i tak jej nie wybaczyli. Podobnie nie pogodzili się z tym, że Paryż zmienił się w ciągu ostatnich pięćdziesięciu lat. Czas powinien stać w miejscu. Niestety, to się nigdy nie zdarza.

Mam więc pięćdziesiąt lat, a Papa i Mama nie żyją. Jutro idę na lunch ze swoim ojcem, by się przekonać, w czym się myliłam, pisząc ten pierwszy rozdział.

## Rozdział 2

# *Jacy byli moi rodzice i wszystkie te „bzdury w guście Davida Copperfielda"*

Jeżeli rzeczywiście gotowi jesteście posłuchać tej historii, to pewnie najpierw chcielibyście się dowiedzieć, gdzie się urodziłem, jak spędziłem zasmarkane dzieciństwo, czym się zajmowali moi rodzice, no i wszystkie tym podobne „bzdury w guście Davida Copperfielda".

J.D. Salinger, *Buszujący w zbożu*
(tłum. Maria Skibniewska)

Miałyśmy szczęście, będąc córkami rodziców rozumnych i ambitnych, którzy ponadto nie mieli synów...

Tillie Olsen, *Silences*